

NA PASTWISKU

Ze studiów nad kształtowaniem się osobowości młodzieży wiejskiej

W tradycyjnej kulturze ludowej dziecko było bardzo wcześnie włączane do prac gospodarczych. Już kilkuletnie dziecko zatrudniano przy pasieniu, a ściślej dozorowaniu gęsi (il. 2) nieco starsze przy pasieniu bydła rogatego, w późniejszym wieku — koni. W zależności od sytuacji lokalnej różne bywały miejsca wypasu. Mogły nimi być indywidualnie wykorzystywane łąki między innymi uprawnych, gminne pastwiska we wsi o niwonym układzie gruntów czy wreszcie rolnicze nieużytki na peryferiach wsi o układzie łąk leśnych.

Sposób wypasu, uzależniony od rodzaju pastwisk, stwarzał specyficzne warunki, w których kształtowała się osobowość dziecka. W jednych przypadkach było ono skazane na długie godziny samotności, jak to miało miejsce przy indywidualnym wypasie na łąkach, w drugim zaś, gdzie wypas był wspólny, wchodziło dziecko do grupy, która rządziła się określonymi przez pasterskie środowisko normami wzajemnego współżycia, własnymi zwyczajami, posiadającymi własny sposób wspólnego wypełniania czasu. Współżycie jednostki z innymi w grupie istniejącej na wspólnym pastwisku stanowiło swoistą szkołę życia, która obok działalności rodziców była ważnym czynnikiem wychowawczym, formującym w sposób trwały osobowość, a często i los młodego człowieka.

Zagadnienie roli jaką w życiu młodzieży wiejskiej spełniał wspólny pobyt na pastwisku nie doczekało się dotychczas szerszego opracowania. W literaturze etnograficznej mamy na ten temat zaledwie kilka drobnych publikacji¹ i trochę luźnych informacji rozsypanych po różnych opracowaniach monograficznych dotyczących wsi.² Nieco więcej wiadomości znajduje się w pamiętnikach pisanych zarówno przez chłopów³ jak również przez ludzi wykształconych, pochodzących ze wsi, którzy w pewnym okresie dzieciństwa spędzali czas na wspólnym pasieniu⁴.

Mówiąc o roli jaką w życiu młodego człowieka odgrywał czas spędzony przy pasieniu nie będę zajmowała się wypasem indywidualnym na łąkach czy „przy domu”, ale wyłącznie na wspólnym pastwisku, gdzie funkcję pasterzy spełniały dzieci.

Pasieniem zajmowali się synowie⁵ lub rzadziej córki właścicieli bydła, względnie zatrudnione za wynagrodzeniem dzieci, pochodzące z ubogich rodzin. Zdarzało się również, że obok gromady młodocianych pasterzy znalazł się także człowiek stary, członek rodziny właściciela bydła lub pracownik najemny, któremu z racji wieku i doświadczenia przypadała specjalna funkcja w działającej na pastwisku społeczności. Stosunki między starym pasterzem a młodzieżą układały się zazwyczaj bardzo dobrze. Stary człowiek udzielał im rad i wskazówek, opowiadał różne historie o strachach, bajki i legendy, młodzi zaś słuchali go z zainteresowaniem, a w zamian za to pilnowali i zawracali mu krowy, aby nie weszły w „szkodę”.⁶ Pełnił więc stary pasterz poważną rolę w dziedzinie przekazywania treści folklorystycznych i to zarówno tych, które były własnością dorosłych jak i tych, które były wspomnieniem lat młodych spędzonych na pastwisku.

Najeźściej jednak na pastwisku zbierały się ze swoim bydłem same dzieci. Prawie każde dziecko wiejskie spędziło jakiś czas na pasieniu. Twierdzone bowiem, że aby być dobrym gospodarzem należy przygotowywać się do tego niemal od urodzenia.

W rodzinach biedoty wiejskiej bywało, że już 4-letnie dzieci oddawano do domów bogatych gospodarzy w celu pasienia

gęsi, za co otrzymywały zwykle wyżywienie, zgrzebną koszulę i drewniane trepy⁷. W niektórych okolicach, np. Myślenickim, najmłodszymi pasterzami „od krów” mogły być dzieci mające przynajmniej ukończony siódmy rok życia. Uważano bowiem, że przy młodszych, bydło nie pasłoby się dobrze. Ostatnim i najważniejszym szczeblem w hierarchii pasterskiej było opiekowanie się końmi. Awans ten miał miejsce około 14-go roku życia, kiedy kończył się właściwy okres dzieciństwa, a chłopiec który przygotowywał się „na parobka”, otrzymywał tytuł „koniarza”, co niezwykle imponowało dorastającym chłopcom. Pastuch od koni uważał się za coś ważniejszego od młodszego „mlycoka” to jest tego, któremu nie pozwolono jeszcze wyjeżdżać z końmi na noc.⁸

Pasterze mieli różne określenia zależnie od tego co w danym czasie paśli. Byli więc „pasterze od drobiu” (jeśli zajmowali się kurami, gęsiami czy kaczkami), „pasterze od świń” zwani także „świniarczykami”, „pasterze od cieląt”, wreszcie „pasterze od krów i wołów”. Zdarzało się i tak, że z danego gospodarstwa świnię, cielęta a nawet gęsi pasły się razem z bydłem, wówczas nie wystarczał jeden pasterz. Wyruszała wtedy z domu „wszółka rabiata” na pastwisko, chłopcy i dziewczęta, mniejsi i więksi, a „przy domu” zostawali tylko mały poniżej 4 lat.⁹

Wypędzanie bydła odbywało się różnie, zależnie od pory roku. Na wiosnę i w lecie około 5-tej rano, a czasem i wcześniej, przed wschodem słońca. Było to tzw. „pasienie na rosę”, dobre ze względu na brak much i bąków. Pasiono zwykle do 10-tej. Wtedy pasący wracał z bydłem do domu i ponownie udawał się na pastwisko po dojeniu południowym i obiedzie czyli mniej więcej około godziny 3-ciej. Na pastwisku pozostawał już do zachodu słońca. Jesienią ranny wymarsz odbywał się nieco później. Bywały jednak wsie, gdzie pastwisko znajdowało się w znacznej odległości od zabudowań gospodarskich i wówczas bydło na pastwisku pozostawało od rana do zachodu słońca, którego pasterze i pasterki wyczekiwali z utęsknieniem. Świadczy o tym piosenka:

Zachodźże słońeczko,
Kiedy masz zachodzić,
Bo mnie nóżki bolą
Za bydełkiem chodzić.

Pasienie bydła nie było pracą lekką. Przyczyniał się do tego długi czas pobytu na pastwisku oraz konieczność ciągłego pilnowania, aby bydło nie poszło w szkodę. Nie zawsze dopisywała też pogoda¹⁰ a ubranie pasterzy było bylejakie. Cały strój chłopięcy stanowiła koszula konopna, zgrzebne albo paczesne gacie i w razie deszczu i zimna okrycie — np. chochoł ze słomy, worek lub stara derka. Dziewczęta ubrane były w koszulę konopną, długą, jednostajną oraz w konopną spódniczkę, a od chłodu miały zniszczoną chustę po matce lub babce. Zarówno dziewczyny jak i chłopcy chodzili przez cały czas boso.¹¹ Strój małych dzieci ograniczał się jedynie do konopnej koszulki.

Jak to już zostało powiedziane pasienie nie ominęło żadnego dziecka wiejskiego. „Kaźde to musiało przeterminować” — jak mówią starzy informatorzy. Na pastwisku zbierało się prawie tyle dzieci, ile było „numerów” we wsi.

Wspólnych pastwisk było we wsi albo kilka, równej wielkości, albo jedno duże, liczące kilkadziesiąt morgów. Szczególnie



I. I. Pastuch grający na rogu, Morawica, woj. Kraków, 1947 r.

rozległe pastwiska tzw. błonia występowały we wsiach nadwiślańskich. Pastwiska dzieliły się na mniejsze obszary określone osobnymi nazwami. W Morawicy np. pastwisko — jak pisze Stefan Duszyk — podzielone było na kilka połaci, a każda z nich miała odrębną nazwę. Były tu: „Zakątek”, „Cegielnia”, „Podjezierze”, „Kurnik”, „Bery” oraz mały stawek, noszący dumną nazwę „Jeziora”.¹² Zazwyczaj w części położonej bliżej domów pasły się gęsi i świnie, na odleglejszych i większych — bydło.

Wspólna praca stwarzała pomyślne warunki tworzenia się wśród młodzieży zebranej na pastwisku pewnych form organizacyjnych i uznanego przez grupę kodeksu postępowania. Na wiosnę pasterze obierali sobie na pastwisku „wójta”, którym był zwykle najstarszy z całej gromady. Obok niego działała „ława przysięgłych” na podobieństwo stosunków panujących w gminie. Wójt sprawował na pastwisku władzę przez całe lato. Jako oznaki swej godności posiadał, na wzór pasterzy gromadzkich, (il. 13) bat pasterski z długim sznurem konopnym, zdobiony czerwonym chwostem oraz kij. Koło Kartuz miał on biczysko z grubej dębiny, nieco grubsze niż wielki palec. Pręt w odległości stopy od grubszego końca rozszczeplano na 9 części, które potem splatano i wiązano u cienkiego końca wierzbowym szpagatem. Czasem bat wyplatano z młodej brzeziny, podobnie rozszczeplonej na 12 części, nazywano go wówczas „dwunastką”. Prócz takich biczy używali pasterze także kija „grzechotkowego”, zwanego „ryńczyk”, a służącego do zwolywania trzody i odstraszania wilków. Kij ten znany był w północnej części Polski, od Pomorza do Suwalszczyzny. Ponadto znana była również „puszczawka”, kij na jednym końcu rozłupany, służący do ciskania kamieni. Spotyka go się także w Poznańskim i na Lubelszczyźnie.¹⁴

„Mieli też i inni pasterze mocne kije lub baty uwiązane na długiej jałowcowej kozicy. Na każdym kiju i na każdej kozicy

musiał być wyrżnięty krzyż, w przeciwnym razie, gdy ktoś tego nie dopatrył i krzyża nie wykroił, kozica czy bat był wyrywany z rąk pastucha przemocą, następnie utytlany w krowim łajnie, zaś kij z krzyżem nigdy nie podlegał takiej operacji” — pisze pamiętnikarz z Opoczyńskiego.¹⁵

Wójta musieli na pastwisku słuchać wszyscy, gdyż był zwykle najmocniejszy i za wszelkie nieposłuszeństwa bił batem. Sam mało zajmował się bydłem wyręczając się młodszymi, natomiast wysypiał się dobrze na pastwisku. Przychodziły jednak i na niego czasem ciężkie chwile, kiedy niedostatecznie przez pastuchów pilnowane bydło weszło „w szkodę”. Wówczas gospodarz, na którego polu miało to miejsce, rozliczał się z wójtem, odpowiedzialnym za porządek na pastwisku, i w przypadku gdy ten został złapany na spaniu niejednokrotnie obrywał za karę porządne lanie.

Przyjęcie do gromady pasterzy „nowego” związane było z pewnymi zwyczajami. Na wstępie musiał on przysiąc „wójtowi”, że będzie mu bezwzględnie posłuszny, będzie wypełniał wszystkie jego rozkazy i zarządzenia. Z pamiętników Pawła Gawryluka (ur. 1898, pochodzący z okolic Bielska Podlaskiego) dowiadujemy się, że musiał złożyć taką przysięgę swemu o dwa lata starszemu koledze. Początkowo gorliwie wykonywał wszelkie rozkazy władzy. Zawracał woły, aby nie robiły szkód. Pozostawał sam przy stadzie wołów, gdy inni robili wyprawy „łupieżce”. Należało do niego rozniecanie i podtrzymywanie ognia, nie trwało to jednak zbyt długo. Gdy po kilku tygodniach pojawił się inny „nowy” i przejął jego funkcję, Gawryluk został ostatecznie przyjęty do grona pastuchów, którzy tworzyli karną, zorganizowaną grupę, odbywającą wspólne zabawy i wyprawy, a celem ich było wybieranie jaj ptasich, piskląt, kradzież kur czy gęsi.¹⁶

W gromadzie młodzieży przebywającej na pastwisku przestrzegana była zasada wspólnych posiłków. Wypędzając bydło z rana, często nawet przed wschodem słońca, dostawał pasterz do torby, uszytej z samodziałowego płótna, kromkę chleba a w małym garnuszku trochę masła, twarogu lub sera. Podobnie przedstawiał się podwieczorek. W czasie jedzenia na pastwisku obowiązująca była tzw. „dzielanka”. Według słów Jana Słomki „każdy dzielił się swoim śniadaniem z innymi i nawzajem był przez nich częstowany”. Raczyci się tak albo w całej „kupie” albo dobierali się partiami ci, którzy mieli z domu mniej więcej jednakową „wyprawę”. Ktoby zaś jadł sam „na boku” nazywano go wówczas „samojednikiem”. Taki pasterz nie był lubiany i dokuczano mu.¹⁷ Paweł Gawryluk, kiedy po raz pierwszy znalazł się na wspólnym pastwisku, po oglądnięciu go ze wszystkich stron przez wójta, musiał swoją torbę napełnioną chlebem i plackami pokazać gromadzie, która — jak pisze autor pamiętnika — torbę po pewnym czasie oddała, ale już „mocno opróżnioną”.¹⁸

W czasie Zielonych Świąt odbywało się na pastwisku święto pasterzy, podczas którego z otrzymanych w tym dniu od gospodyń jajek smazyli oni tradycyjną jajecnicę. Na Kujawach, w Sieradzkim i w Poznańskim rozpowszechniony był zwyczaj urządzania zabawy w „króla pasterzy”. W pierwszy dzień Zielonych Świąt należało jak najwcześniej rano popędzić bydło na pastwisko, nieraz całkiem jeszcze po ciemku. Który z chłopców pierwszy przygnał na pastwisko trzodę obwołany był „królem pasterzy” a dziewczyna „królową”. Dalsi z kolei zostawali wysokimi urzędnikami dworu. Nadawano im zarówno staropolskie tytuły (hetmanów, wojewodów) jak i nowsze, aktualne (gubernatorów, generałów, pułkowników). Dzieci, które ostatnie przygnały swoje bydło narażały się na pośmiewisko. W sieradzkim nazywano je „miotlarzami”, przyczepiano im miotłę, którą musiały ciągnąć za sobą przez cały dzień niby czyszcząc w ten sposób pastwisko. Po południu uczestnicy urządzali uroczysty poczęstunek, złożony z produktów przyniesionych przez każdego pasterza czy pasterkę, względnie przez wybranych tego dnia dostojników. Zabawa wiązała się z tryumfalnym powrotem do wsi. Król i inni dostojnicy jechali przystrojeni na koniach

lub wolach. Ten który na pastwisko przybył ostatni zamykał pochód.¹⁹

Ponieważ zawracanie bydła od szkody nie wymagało udziału wszystkich pasterzy, więc zależnie od pory roku wypełniali sobie czas różnymi zabawami i psotami. Na wiosnę „chodzili za ptakami”. Wybierali z gniazd jaja wronie, kaczce, kuropatwie i inne. Smażyli je (jeśli były świeże), zaś znalezione w gniazdach małe wrony oblepiali gliną i piekli w ognisku. Przy tej okazji niszczyli również i gniazda ptaków pożytecznych. Wspomina o tym Stanisław Pigoń: „W lecie biesiady trafiały się rzadko, ale za to były wykwinniejsze. Wtedy poznałem smak młodych wroniąt. Wspinąć się na wierzchołek drzewa do gniazda trudno dostępnego i wybrać — nasz to był wydział. Dostawało się przy tym niejednokrotnie od wrony dziobem i skrzydłami po głowie, od sęków drzewa po skórce. Ale któżby na to zważał! Łup preparowaliśmy zbiorowo. Trzeba było pisklątom poukręcać łebki, rozpruć i oczyścić wnętrzności, a potem razem z puchem i pałkami piór oblepić błotem. Po wytrzymaniu przez czas odpowiedni w żarze wygarniało się te kulki, przy uderzeniu o ziemię polepa wypalona pękała i odpadała razem z piórami, a ze środka wylaniało się smakowite pieczone. Któżby tam wtedy pytał o sól!!! Równie wspaniałe biesiady bywały z raków. Tu znowu trzeba było długo myszkować za nimi po okolicznych strumykach i stawach, szukało się ich ręką pod nawisłymi brzegami, wyciągało z dziur i spod kamieni, nie bez tego, żeby od czasu do czasu nie złapać w rękę „zaskronca”, uciekaliśmy wtedy z wrzaskiem przed tą „zmiją”.²⁰

Były jednak jajka, których po wyjęciu z gniazda pasterze nie jadal, np. czajek. Jajka te wkładano do kieszeni leniuchom,

wysypiającym się na pastwisku, nie biorącym udziału w „wyprawach”. Śpioch obracając się z boku na bok rozgniatł jajka, a po przebudzeniu złościł się okropnie i wygrażał psotnikom. Czasem kradziono też „grubszą zwierzynę”, jak kury, gęsi itd. Nie robili tego z głodu ani dla smaku, a jedynie dlatego, że znali opowiadania starszych, którzy chwalili się swoimi wyczynami z czasów kiedy sami paśli. Nie chcąc być gorszymi robili wszystko aby dorównać poprzednikom. Bywało niekiedy, że złapany na kradzieży pasterz solidnie oberwał od gospodarza, ale mimo bólu wytrzymywał wszystko, żeby tylko nie stać się pośmiewiskiem swoich towarzyszy.

Innym zajęciem wiosennym było robienie gwizdków i kręcenie fujarek z kory wierzbowej. Gra na fujarkach najpierw wykonywanych własnoręcznie, a później kupowanych na odpustach czy targach była ulubionym zajęciem pasterzy. Ujawniały się tym sposobem muzyczne uzdolnienia i utrwały zamiłowania do muzykowania, które zrodzone na pastwisku pozostawały niekiedy na całe życie, z tym że fujarkę zastępował z czasem inny, bardziej doskonały instrument, jak np. dudy czy skrzypce.

Z młodych pędów wikliny plekli pasterze w Morawicy pod Krakowem tzw. kańce czyli harapy — bicze, które stawały się często narzędziem zawziętych bijatyk,²¹ a z sitowia spiczaste czapki podobne do tych, jakie występują w przebraniach różnych grup obrzędowych.

Gdy skończyło się wybieranie jaj ptasich i minął czas kiedy tylko lekko schodzi z gałązek wierzbowych pasterze z Morawicy zamieniali się w rybaków i łowili w ręce lub do kosza w małym stawku, zwanym dumnie „Jeziorem”, drobne rybki. Ażeby osłodzić sobie pasterskie życie wyszukiwali pod darnią lub we

II. 2. Mała gęsiarka w drodze na gminne pastwisko, Łostówka, woj. N. Sącz, 1966 r.





Il. 3. Zabawa na pastwisku, Jodłówka Tuchnowska, woj. Tarnów, 1965 r.; Morawica, pastwisko gm., 1948 r.:
il. 4. „Stuki”; il. 5. Zabawa w zgadywanie

mchu, względnie na wrzosach, gniazda trzmieli, których miód stanowił dla nich duży przysmak.²²

Ulubioną przyjemnością pasterzy były kąpiele. W okolicach nadwiślańskich w czerwcu, po św. Janie, cała czereda pastuchów chodziła częściej nago niż w ubraniu, gdyż ciągle kapali się w Wiśle, potem tarzali się w piasku a nawet w błocie, ażeby znów zanurzyć się w rzece. Gdzie, jak np. w Morawicy, nie było w pobliżu większej rzeki pastrze przegradzali wąski potoczek, przepływający przez pastwisko i w powstałym w ten sposób bajorku uczyli się pływać i nurkować „na wytrzymałego.”

Czas spędzany na pastwisku dawał sposobność wykonywania zajęć zarobkowych. W lecie, jak zboże zaczęło dojrzewać, pletli pasterze „ząbki” na słomkowe kapelusze z żytniej słomy (rzadziej pszenicznej) zwanej „tręcią”. Robili je zarówno dla siebie jak i na sprzedaż. Zawsze wśród pasterzy znalazł się taki, który umiał szyc kapelusze. Cały kapelusz można było wykonać na pastwisku. Za czasów Jana Słomki za ząbki na jeden kapelusz płacono 15—20 grajcarów. Im drobniejsze były te ząbki tym cena była wyższa. Najlepszy kapelusz (z uszyciem) kosztował ewancyngiera czyli 33 grajcary, ale w takim kapeluszu można było „pochodzić dobrych parę lat”.

Materiał na ząbki trzeba było ucinąć ukradkiem, gdyż gospodarze nie żalowali bicia, jeśli kogoś przyłapali przy tej robocie na swoim polu. Czasem jednak sam gospodarz przychodził na pastwisko i zamawiał ząbki u pastuchów. Pozwalał wówczas uciąć tyle „tręci” ile trzeba było na kapelusz, zwracał jednak uwagę, aby nie wchodzić w środek żyta i nie deptać go. W takich

przypadkach pasterz wykorzystywał otrzymane pozwolenie i wybierał „tręć” — słomę nie na jeden lecz na kilka kapeluszy.²³

Po żniwach i w jesieni gdy dojrzewały owoce tylko mała część pastuchów zostawała przy bydłe. Reszta rozechodziła się po polach i sadach. Rwali wtedy groch strączkowy, rzepe, kopali ziemniaki do pieczenia, chodzili do sadów i kradli dojrzewające owoce. Po powrocie na pastwisko dzielili się z tymi, którzy tymczasem pilnowali bydła.

Opisane tu zajęcia, wykonywane bez kontroli i opieki ze strony dorosłych, wyrabiały u dzieci samodzielność i spryt ale równocześnie wypaczały je powodując okrucieństwo w stosunku do zwierząt,²⁴ lekceważenie cudzej własności, fałszywe poczucie solidarności nakazującej ukrywać winnych. Tworzył się model bohatera. Cechy nabyte w czasie pasterskiej swobody pozostawiały często trwałe ślady na późniejszej osobowości.²⁵

Najwięcej możliwości mieli pasterze po zbiorach. Wtedy bydło puszczano wolno, a oni sami urządzali sobie harce i zabawy. Na pierwszy plan wysuwały się różne gry jak np. „wybijanie buka”, „pliszki” zwane też „kiczkami” itp., a także popisy zręczności i siły (il. 3,4). Dużym powodzeniem cieszyły się gry przy użyciu szmacianych piłek. Częstymi zabawami były „polowanie na zająca”, zabawa „w lisy i wilki”, „w wojsko”, „zbójów i żandarmów”. Starsi chłopcy urządzali na pastwisku wyścigi konne, za co ojcowie srogo karali.

Zabawy, kiedy konieczny był podział na grupy, zaczynały się zwykle od „mętowania” czyli tzw. „wyliczanki”. Teksty wyliczanek stanowią ciekawy przykład literatury ustnej dzieci.



4



5

Utwory te są często wierszowaną składanką słów pozbawioną sensu, w których na plan pierwszy wybija się rytm i rym. Jako przykład posłużyć może tekst następującej wliczanki:

Jan, Jan Fabijan z olszowymi nogami, objął głowę wstęgami a ty Janie, Fabijanie wysiądź konie na zagonie, co mnie pasiesz złotą sieczką, co mnie poisz tą duszyczką, ty choinką na choinkę, ty zajączku na wojenkę. Poszła baba po popiół, diabeł bąbę utopił, ni popiołu ni baby, tylko z baby dwa schaby.

Obok zabaw ruchowych, polegających na gonitwie, popisach sprawności i siły, istniało sporo zabaw innych, jak np. granie w „bierki” czy w „kości” a czasem w karty. Wiele czasu zużywali pasterze na opowiadaniu popularnych gadek zasłyszanych od starszych (il. 5), a także na wymyślaniu i odgadywaniu zagadek. Jest to może najbogatsza dziedzina dziecięcej literatury. Zagadki zbierał na pastwisku Seweryn Udziela, grając ze swymi informatorami „o jednego centa”. Polegała ta gra na tym, że gdy dzieci zadawały mu zagadkę, której rozwiązać nie umiał, dostawały centa, z kolei mówił zagadkę Udziela i centa sobie odbierał.

Pasterki były w zasadzie wyłączone od zabaw, którym oddawali się chłopcy.²⁶ Były one przez chłopców wyśmiewane, nazywano je „pisklami” i pasterzowi „nie honor było zadawać się z dziewczyną”. Chłopcy „robili im na przekór”, stąd dziewczęta trzymały się na pastwisku z dala od pasterzy. Na żadne wyprawy

nie chodzili, wolały raczej zabawy spokojne jak np. pisanie koszyków z sitowia, ubieranie lalek czy pieczenie plaćków z gliny. Bywały jednak również wspólne zabawy pasterzy i pasterek. Należało do takich przede wszystkim „wesele”, robione na wzór prawdziwych wesel wiejskich. Tańce odbywały się przy piszczałce z wierzbiny lub przy skrzypcach o strunach z końskiego włosia. Przy tej okazji zarówno dziewczęta jak i chłopcy uczyli się tańczyć. Znana jest przyspiewka odnosząca się do dziewczyny, która jako dorosła źle tańczyła:

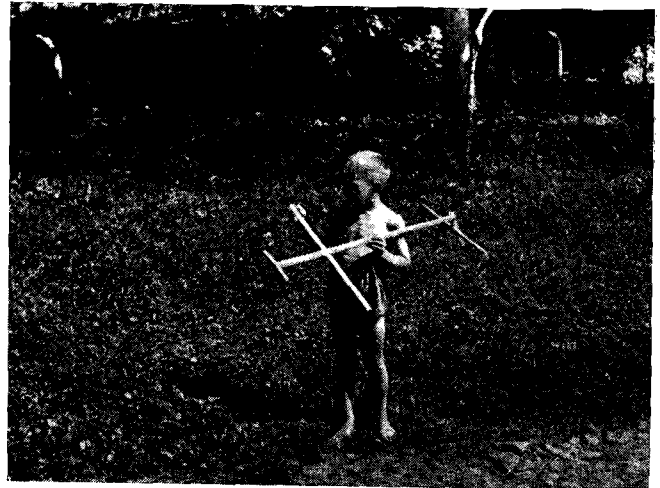
Czyś bydelka nie pasła,
Żeś tańcować nie umiała?

Częstym zajęciem pasterzy było majsterkowanie. Dla zabicia czasu i zabawy wykonywali z drewna wiatraki, młynki wodne, zabawki ruchome w postaci tzw. „traczy” czy kowali, inni znów rzeźbili kozikami różne zwierzęta, ptaszki, koniki czy postacie ludzkie jak np. żołnierzy względnie lalki dla dziewcząt. Próby podejmowane przez jednych wywoływały naśladownictwo innych. Wytworzyło się na tej drodze współzawodnictwo kto zabawkę czy rzeźbę potrafi wykonać lepiej i ładniej. Spośród majsterkującej młodzieży wybijali się ci, którzy posiadali uzdolnienia techniczne lub plastyczne. W wielu wypadkach zrodzone na pastwisku zainteresowanie rzeźbą pozostawało na całe życie. Z wywiadów przeprowadzonych w wiejskich ośrodkach produkcji zabawek drewnianych np. w Brzozie Stadnickiej czy z ludowymi rzeźbiarzami dowiadujemy się, że często ich artys-

Il. 6. Zabawa na pastwisku, Lubomierz, woj. nowosądeckie, 1966 r.; il. 7. Suchodół, woj. krośnieńskie, 1959 r.; il. 8. Samochód wyk. przez Wiesława Drykę, l. 12, Przykop, woj. tarnobrzeskie, 1981 r.; il. 9. Samolot, wyk. Stanisław Ochalek, l. 15, Bezdziadka, woj. krośnieńskie, 1959 r.



6



7



8



9

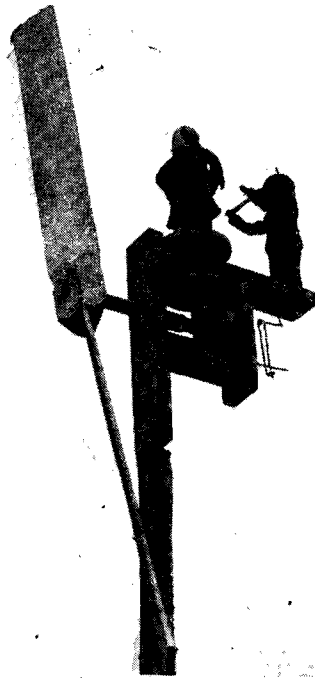
tyc za twórczość bierze początek od prób podejmowanych w czasie dziecięcych lat spędzonych przy krowach na pastwisku.²⁷

W czasie pobytu w zintegrowanej gromadzie działającej na pastwisku powstawał tak mało jeszcze znany folklor dziecięcy i pierwociny sztuki plastycznej. Tu kształtowała się swoista wiedza o świecie, tworzyły się formy społeczno i etyczne. Tu wreszcie krystalizował się model wiejskiego bohatera, akceptowany przez grupę, typ wiejskiego zawadiaki, który „niczego się nie boi” i lekceważy niewygodne dla siebie zakazy i nakazy. Oduajdujemy go dziś wśród starszej młodzieży.

Gromada tworzyła jedną zwartą całość, gdzie hasło „jeden za wszystkich — wszyscy za jednego” stosowane było w sposób dosłowny.²⁸ Osobnik, jeśli nie chciał lub nie umiał dopasować się do obowiązującej normy, narażony był na szykany całej grupy. Przybierały one niekiedy nawet formy okrucieństwa. Przyczyną takiego traktowania był najczęściej fakt, że chłopak (rzadziej dziewczyna) donosił gospodarzom we wsi co się dzieje na pastwisku i „sypał kolegów”, względnie skarżył na nich. Ponieważ pasterskie psoty bywały srogo przez rodziców karane donosicielstwo nie mogło winowajcy uchodzić płazem. Kary stosowane na wyłamujących się członków grupy były surowe.

Przykładem tych stosunków, jakie panowały na pastwisku, może być zdarzenie opisane w pamiętniku cytowanego już wielokrotnie Pawła Gawryluka. Jeden z chłopców, niezbyt lubiany przez wszystkich, zniszczył sobie nowe, odświętne ubranie. Bojąc się ojca, oskarżył o to Gawryluka, za co ten dostał od brata poszkodowanego takie bicie, że przez kilka miesięcy musiał siedzieć w domu, kurować się i właściwie już do pełnego zdrowia nigdy nie powrócił. Pozostali pasterze srogo zemścili się za pokrzywdzonego kolegę. Złapali przewrotnego skarżypytę, zarzucili mu na głowę worek, aby nie widział kto go bije i stłukli go niemilosernie, a następnie zbitego zostawili na pastwisku aż się ktoś musiał po niego zgłosić. Kiedy po pewnym czasie wrócił znów na pastwisko i zasnął, pasterze włożyli mu w usta, nos i nszy zebrany na pastwisku kał wołowy, a następnie polali własnym moczem, kiedy zaś chłopak obudził się, i złościł, zapewniali go, że zrobił to jego własny wól. Poszkodowany wiedział, że to nieprawda, ale bał się już na kolegów poskarżyć.²⁹

Mimo trudnej i żmudnej pracy, jaką było pasienie bydła, lata spędzone na wspólnym pastwisku razem z „kompanami” („kompankami” — dziewczynami) wspominało się przez całe życie. Lata pasterskie zawsze należą do najprzyjemniejszych



Il. 10. Wiatraczek z tańczącą parą, wyk. Andrzej Figiel. Zabawki dziewcząt wiejskich: il. 11. Łalki z trawy, Chojne, woj. sieradzkie; il. 12. Ptak z sitowia i papierków, kol. Białka, woj. siedleckie, 1957 r.

w pamięci byłych pasterzy, a przyjaźnie związane „przy bydle” trwały często do śmierci. Zdarzało się, że udzielona pomoc czy dobra rada, którą sobie wzajemnie wyświadczają ludzie, ugruntowana jest na zasadzie „przecież myśmy razem ze sobą pasali”.

Opisane tu w dużym skrócie życie pasterzy na wspólnym pastwisku należy już do przeszłości. Jednak mimo tego, że zanikło już przed kilku dziesiątkami lat, badanie jego nie straciło na aktualności. Przypuszczać można, że wiele zjawisk związanych z normami postępowania przyjętymi przez współczesnych mieszkańców wsi można by wyjaśnić tkwiącymi w tradycji wzorami, które kiedyś zrodziły się i zostały przyjęte przy pasieniu bydła na wspólnym pastwisku.

PRZYPISY

¹ St. Duszyk, *Na wiejskim pastwisku*, „Orli lot”, 1947 nr 9/10, s. 151 i in.; L. Młynek, *Życie sierskich pasterzy przed 20 laty*, „Lud”, t. 4, 189, s. 274—289

² B. Baranowski, *Życie codzienne wsi między Wartą a Pilicą w XIX wieku*, Warszawa 1969; St. Dworakowski, *Kultura społeczna ludu wiejskiego na Mazowszu nad Narwią*, Białystok 1964; W. Gaj-Piotrowski, *Kultura społeczna ludu z okolic Rozwadowa*, Wrocław 1967; Fr. Lorentz, A. Fischer, T. Lehr-Splawiński, *Kaszubi, kultura ludowa i język*, Toruń 1934; J.P. Dekowski, *Pasterstwo nad Pilicą*, „Prace i Materiały Etnograficzne”, t. 13, 1959; W. Drozdowska, *Grupy rówieśnicze w Załęczu Wielkim*, „Prace i Materiały Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi”, seria etnograficzna, nr. 5, Łódź 1961; A. Jaskulanka, *Niektóre zwyczaje pasterskie w Sieradzkim*, „Prace i Materiały Etnograficzne”, t. 8/9, 1950/51

³ J. Bojko, *Ze wspomnień*, Warszawa 1959; J. Chałasiński, *Młode pokolenie chłopów*, Warszawa 1938; M. Dąbrowska, *Pamiętniki młodzieży wiejskiej 1918—1939*, Warszawa 1969; *Pamiętniki chłopów*, t. 1—3, Warszawa 1935, 1936; J. Słomka, *Pamiętniki włościanina — od pańszczyzny do dnia dzisiejszego*, Kraków 1912

⁴ Fr. Kotuła, *Rozmowy ze skorupami*, Rzeszów 1969; Fr. Pigoń, *Z Komborni w świat*, Kraków 1947

⁵ W pamiętniku Jana Drabikowskiego (ur. 1880 r. we wsi Radziejów Stary, gm. Bytów, pow. Niezawa, woj. Warszawa) czytamy: „Jako chłopiec urodzony po 6 dziewczęctwach musiałem bardzo wcześnie iść do pasionki. Gdy miałem lat 5 pasłem już świnię i cielętą, a od 7 lat krowy” (*Pamiętniki chłopów*, op. cit., t. 2, s. 111)

⁶ „Pamiętam takiego z lat dziecińczych — pisze Stefan Duszyk — wysoki i chudy, długie włosy siwe, spadające na ramiona spod starego kapelusza, długi wąs. W dni pogodne nosił zgrzebną koszulę wypuszczoną na wierzch płóciennych, samodziiałowych spodni, w deszcz narzucał na ramiona stary worek, a dawniej jak opowiadał słomianego chochoła. W rękę jako insygnia swej władzy dzierżył pasterski, gromadzki bat z długim konopnym sznurkiem, ozdobionym czerwonym chwastem i trąbą wykonaną z rogu wolu.” (*Na pastwisku*, op. cit., s. 151)

⁷ B. Baranowski, op. cit., s. 112

⁸ W. Gaj-Piotrowski, op. cit., s. 105

⁹ L. Młynek, op. cit., s. 275, 276

¹⁰ „Zazwyczaj krowy wyganiało się na ten paśnik w początku maja, a przed majem cielęta i świnię przepędzano na oziminę czyli na pszenicę, bo żyto wyrastało wcześniej i zwierzęta niechętnie je jady. Na tym paśniku pasłem na słońcu i słoicie, na wietrze i upałach aż do 14 roku życia.” pisze wspomniany Jan Drabikowski, *Pamiętniki chłopów*, op. cit., t. 2 s. 111

¹¹ „Zawsze chodzono boso na pastwisko mimo wielkiej rosy, która ogromnie szczypała w nogi. Butów nie ubierano do pasienia z dwóch powodów: po pierwsze, że nie stać na to wiejskich rodziców, po drugie zaś pomimo tej zimnej gryzącej rosy nikt za bydłem nie chodził obuty, bo by się wszyscy wyśmieli z takiego pana, eo to za bydłem w butach chodzi. Przypominam sobie, jak nieraz pod wpływem tej zimnej wody-rosy udawałem bociana, raczej stosowałem jego sposób ogrzewania nóg, gorzej zmarzniętą podkułając i stojąc na jednej i następnie po nagrzananiu jednej pozwalałem jej marznąć, a drugą podkułęm. I tak na zmianę.” (J. Chałasiński, op. cit., t. 1, s. 280, 281)

¹² St. Duszyk, op. cit., s. 152

¹³ J. Słomka, op. cit., s. 7

¹⁴ Fr. Lorentz, A. Fischer, T. Lehr-Splawiński, op. cit., s. 151

¹⁵ J. Chalasiński, op. cit., t. 1, s. 219

¹⁶ *Pamiętniki chłopów*, t. 2, s. 556

¹⁷ J. Słomka, op. cit., s. 8

¹⁸ *Pamiętniki chłopów*, t. 2, s. 555

¹⁹ B. Baranowski, op. cit., s. 114. Inaczej wyglądały zwyczaj pasterskie w rejonie Tykocina. „Tu — jak pisze Stanisław Dworakowski — w pierwszy dzień (czasem drugi) Zielonych Świąt pastuchy niegdyś, pędząc przed południem do wsi bydło z pastwiska, wybierali pięknego i spokojnego wolu, okrywali go starą słomianą siecią i następnie przywiązywali ją do tułowia słomianymi pasami. Za sieć i powrósla wkładali gałązki i polne kwiaty, na rogi zaś wieniec z brzoźowych gałązek. Tak przystrojonego wola hałasując prowadzili na czele stada do wsi, gdzie właściciel zwierzęcia musiał je wykupić z rąk pastuchów datkiem pieniężnym. W przeciwnym razie chłopcy prowadzili wola dalej na wieś. Z biegiem czasu zwyczaj ten uległ znacznej zmianie. Już około 1937 r. w okolicach Tykocina, w tych samych co dawniej wsiach, pastuchy pędząc w południe krowy do domu, zakładali im tylko zielone wieniec na rogi. Gospodarze wykupywali uwieńczone zwierzęta, dając pastuszkowi złotówkę wykupnego „na cukierki”. Po południu na pastwisku spędzali pastuchy bydło w jedno miejsce, a z przyniesionych z domu jadel urządzali biesiadę czyli „majówkę”. Zarówno oprowadzanie po wsi wolu, jak i biesiady pastuchów na pastwisku w niektórych tutejszych wsiach zwano dawniej „wolowem weselem”. (*Kultura społeczna...*, op. cit., s. 101)

²⁰ St. Pigoń, op. cit., s. 111

²¹ St. Duszyk, op. cit., s. 152

²² tamże, s. 153

²³ J. Słomka, op. cit., s. 10

²⁴ Jak okrutnymi potrafili być pasterze doskonale ilustruje fragment w pamiętniku chłopca z woj. warszawskiego: „Pasione przeze mnie krowy kładły się w cieniu drzew, żując apatycznie i powoli oganiały się ogonami od muchów i bąków. A ja co robiłem? Ja pracę miałem. Łapałem bąki, łamałem żdźbła trawy, wsdzałem w odwłok i puszczałem na wolność. Każdy z nich zabrzęczał z bólu straszliwie i pomknął w przestworza. Ciało z zaciętością powietrze, ciągnąc za sobą żdźbło trawy. Patrząc za nim ogarniała mnie dzika rozkosz. Długo stałem i patrzyłem, a on malal, malal, aż wreszcie roztopił się zupełnie w błękiecie. A wtedy wracałem do krowy, łapałem następnego bąka, wsdzałem znów trawę w odwłok i puszczałem. Bąk gnał z bólu na koniec świata, a ja długo, długo patrzyłem za nim aż stawał się muchą, komarem, punkcikiem, aż wreszcie całkowicie w błękiecie roztopiał. Przyjemnie było patrzeć na rozpaczliwe wyczyny bąka i jego topienie się w błękiecie. Tę historię powtarzałem po raz piąty, dziesiąty i setny, dopóki krow nie pognałem do obory.

Tak spędzałem czas za krowami dzień po dniu w gorące czerwcowe dni. Tak spędzali czas wszyscy moi rówieśnicy. Uczyliśmy się poczucia dobra i piękna na barbarzyńskiej igraszce. Zaprawialiśmy się na psach do przyszłych krwawych bójek i bijatyk. O wstrętne brzydoto zabaw człowieka wiejskiego. Brzydoto, brzydoto, brzydoto!” (J. Chalasiński, op. cit., t. 1, s. 228)

²⁵ „Dziś — pisze autor pamiętnika, pochodzący z dawnego powiatu sierpeckiego — kiedy się nad tym zastanawiam i widzę postęпки kolegów, z którymi niegdyś razem pasalem konie, to widzę, że oni mają wady, które biorą początek z tamtych dni. Te kradzione niegdyś matce jajka i słonina zastawiły niektórym ślad w przyszłym życiu. Dziś nie kradną jajek, słoniny, ale zboże, świnie, krowy i w ogóle co się da. To sprawiło pasterskie w młodości wychowanie. Ludzie ci cierpią za to, że w ciężkich warunkach udeło im się sprytnie coś podciągnąć, do tego przywykli i zostali takimi. (J. Chalasiński, op. cit., t. 1, s. 227)

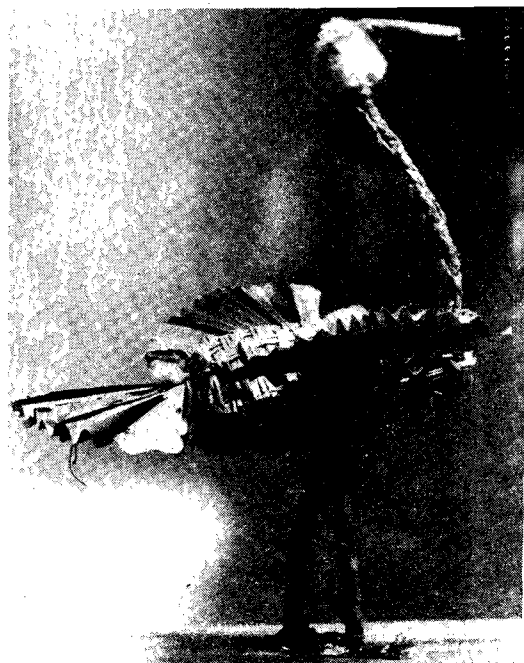
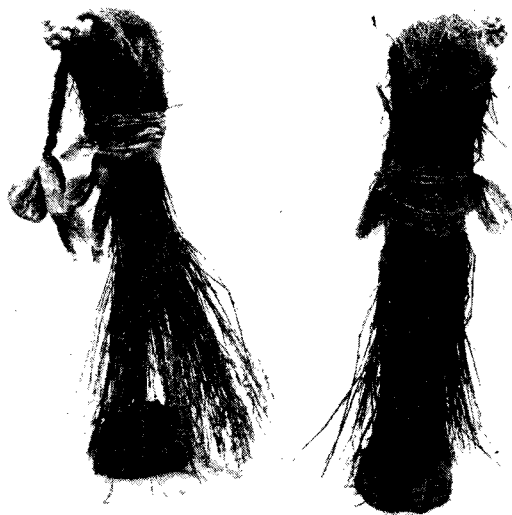
²⁶ „Dziewczyny rzadziej dopuszczaliśmy do zabaw, ze względu na to, że uważaliśmy je jako gorszy gatunek człowieka, że o byle co beczwały, nie potrafiły dosiadać konia itd. To ostatnie napawało nas szczególną dumą”. (J. Chalasiński, op. cit., t. 1, s. 218)

²⁷ I tak np. Augustyn Piekło (ur. w 1895 r. w Brzozie Stadniokiej) stolarz-samouk tak wspomina początki swojej pracy: „Jak szedłem na pastwisko brałem pod pachę deskę lipową i wycinałem różne rzeczy, cygarniczki, ptaszki”. Podobnie mówi o sobie Michał Grzęsko — zabawkarz (ur. 1908 r.), że jako mały chłopiec pilnujący krowy na pastwisku rzeźbił drobne przedmioty dla własnej przyjemności i na prezenty dla innych. Były tam między innymi lufki, ozdobione główkami zwierząt. (inf. zebrała w 1979 r. mgr Alicja Maleta, Inst. Sztuki PAN).

²⁸ Hasło to było szczególnie wyraźne gdy na pastwisku został zaczepiony jeden z pasterzy przez pastucha z sąsiedniej wsi. „Napadaliśmy wtedy na siebie — pisze pamiętnikarz z Opoczynskiego — i wywiązywała się walka. Jako narzędzie w tej walce używane były kije, bity, przyniesione z pól kamienie, a w ostateczności darnie. Z walki tej wychodziło się bardzo często z tegim guzem na głowie, a często musieli interweniować i rozpedzać walczących nasi ojcowie. Często też dochodziło do bójki między nami a pastuchami z miasta O., ale z temi była trudniejsza sprawa, bo używali oni w walce noża. W naszym pojmovaniu użycie noża w walce z człowiekiem równało się jakiejś ohydnej zbrodni, którejby żaden z nas nigdy nie popełnił, odnosiło się to również i do wszystkich ludzi ze wsi. Na takiego co noża używał w walce patrzano jak na najpodlejszego gatunku zbója. Z biegiem jednak czasu pojęcie się zmieniły i w walce z tykami z O., co śmieli, a którym nie zależało bardzo na utracie czei i poważania, zaczęli też używać noża w ten sposób, że wiązano go na koniec bata i z odległości uderzano przeciwnika po kapocie, ale szkody to nikomu dużej nie przyniosło.” (J. Chalasiński, op. cit., t. 1, s. 219, 220)

²⁹ *Pamiętniki chłopów*, t. 2, s. 560

Fot. R. Reinfuss, il. 1, 4, 5; J. Świdorski, il. 2, 3, 6—12





Zofia Czerwosz

SZTUKA LUDOWA W ESTETYCZNYM WYCHOWANIU DZIECI I MŁODZIEŻY



1

2

W krajach zamożnych i uprzemysłowionych od kilkunastu już lat widoczny jest stały wzrost zainteresowania dla tego, co można wykonać własnymi rękami, przy pomocy prostych narzędzi i techniki. Nie tylko coraz popularniejsze staje się hasło „zrób to sam”, ale również i wszędzie przejawy amatorstwa plastycznego w dziedzinie rękodzieła artystycznego. Niestety rezultaty estetyczne okazują się niewspółmierne do zapału i zaangażowania. Myślę, że przyczyną tego jest przede wszystkim brak zrozumienia istoty rzemiosła, zależności jakie występują między formą plastyczną, materiałem i narzędziem. Nawet wtedy, gdy sięga się po wzór sztuki ludowej nie dostrzega się tego, co w niej najważniejsze — celowej konstrukcji przedmiotu. Amatorom nieznane są często podstawowe wiadomości o kompozycji barw i kształtów.

Amatorzy nie są temu winni, winien jest czas, który oddziela przemysłowe społeczeństwa od wyrobów rękodzieła. Trzeba wielu wysiłków by na nowo, w procesie własnych doświadczeń, zrozumieć zależności które występują pomiędzy surowcem, materiałem i formą.

Pod tym względem Polska znajduje się w znacznie lepszej sytuacji, ponieważ sztuka ludowa jest jeszcze u nas żywa, a tam gdzie wygasa, zachowała się pamięć o niej, żyją też twórcy ludowi znający tradycyjne formy i techniki. Dawna kultura ludowa wyrobiła w nich dwie cechy, bez których nie może powstać żadne wartościowe rękodzieło — śmiałość i umiar. Pozostaje jednak sprawą otwartą, jak wykorzystać te doświadczenia w procesie wychowania estetycznego społeczeństwa, a zwłaszcza dzieci i młodzieży?

Szkoła, mimo że zgodnie z programem powinna zapoznawać uczniów ze sztuką ludową, w rzeczywistości czyni to dorywczo i powierzchownie. Nie wypracowano metody włączania sztuki ludowej do programu wychowania plastycznego. Na zajęciach praktycznych coraz więcej czasu zajmuje projektowanie przedmiotów oraz obsługa maszyn i przyrządów, jest go natomiast

coraz mniej na zapoznanie uczniów ze starymi, najważniejszymi rzemiosłami, jak tkactwo, obróbka drewna czy ceramika. Uczeń współczesny z trudem pojmuje wartość i piękno starego ludowego rękodzieła, nie dostrzega związku między formą a techniką wykonania i tworzywem.

W tej sytuacji szczególnie interesujące mogą być doświadczenia ognisk i zespołów plastycznych działających w żywych jeszcze ośrodkach ludowej sztuki. Spełniając prośbę redakcji chcę na tym miejscu podzielić się uwagami na temat pracy takich zespołów w Hły i Medyni Głogowskiej.

Podjęmując myśl stworzenia ognisk młodzieżowych w tych ośrodkach wiedzieliśmy, że zadanie jest trudne. Nie chodziło bowiem o to, aby nauczyć dzieci samej techniki lepienia glinianych figurek, ale aby przez te zajęcia wprowadzić je w krąg podstawowych problemów plastycznych — aby przez doświadczenie sztuki ludowej rozszerzyć horyzont myślowy i wrażliwość estetyczną.

Działania te podejmowaliśmy w okresie gdy estetyka dawnej sztuki ludowej przestała już organizować wyobraźnię młodzieży i nie była przez nią przyjmowana jako własna czy naturalna. Bardzo istotną sprawą było kto ma te zajęcia prowadzić. Nauczyciel z przygotowaniem plastycznym nie zna arkanów rzemiosła ludowego, choć ma świadomość celu, któremu powinny służyć zajęcia. Twórca ludowy, zwłaszcza doświadczony mistrz, znakomicie może wprowadzić w arkana rzemiosła, ale już werbalizacja doświadczeń artystycznych sprawia mu dużą trudność. Twórcy ludowemu brak przygotowania dydaktycznego, brak mu też wiedzy artystycznej, która jest niezbędna, aby widzieć sztukę ludową w kontekście współczesnej kultury artystycznej. Sam twórca przekraczając krąg form tradycyjnych, staje na rozdrożu między estetyką dawnej sztuki a obecnymi poglądami na piękno środowiska, w którym się znajduje. Dlatego też postanowiliśmy w pracy z młodzieżą łączyć doświadczenia twórcy ludowego z umiejętnością pedagoga — plastyka. (Podobne rozwiązanie



3



4



5



6

Il. 1. Wincenty Kitowski przy pracy, Ilża, woj. kieleckie; il. 2. Ptaszek ceram., wyk. pod kierunkiem Wincentego Kitowskiego i art. pl. Zofii Czerwosz w ognisku przy Spółdz. „Chalupnik”; prace dzieci starszych, ok. 1970 r.; Ptaki Wincentego Kitowskiego: il. 3. *Indor*, wys. 10,5 cm; il. 4. *Bocian*, wys. 18 cm; il. 5. Ptak ceram. „wyk. Konstanty Ciepiewski, Ilża; il. 6. Ptak ceram. wyk. w ognisku przy Spółdzielni „Chalupnik”

przyjęto w klasie kozła lubuskiego, którą w Średniej Szkole Muzycznej w Zbąszyniu prowadził znakomity muzyk ludowy Tomasz Śliwa wraz z prof. Antonim Janiszewskim).

Wybór Ilży na miejsce pierwszego eksperymentu, w którym brałam udział jako inicjator i pedagog — plastik, uwarunkowany był żywą tradycją tego ośrodka garncarskiego. Należy on do najstarszych i najbardziej znanych w Polsce i choć świetność jego przeminęła i nie ma już prawie czynnych pieców garncarskich, pozostali w nim doskonali garncarze, znajdowała się tu także cepeliowska Spółdzielnia „Chalupnik”.

Sytuacja w Ilży wydawała się dość paradoksalna. Wspierała tradycja i brak jakiegokolwiek prób przedłużenia jej w procesie wychowania młodzieży. Spółdzielnia skupiająca garncarzy z miasta i okolic prowadziła kółko plastyczne dla dzieci, ale zajęcia w nim niezym nie różniły się od zajęć w innych kółkach, działających na terenie kraju. Dzieci malowały farbami wodnymi na blokach rysunkowych, i na tym wszystko się kończyło. Mimo tego, że Ilża ma znakomitą glinę garncarską, nie wprowadzono żadnych zajęć ceramicznych. Nawet w przedszkolu, zamiast gliny, dzieci dostawały do ręki tylko kawałki plasteliny oraz różne namiastki materiałów do modelowania jak np. masę solną.

Pierwsze Ognisko Ceramiki Ludowej udało się stworzyć dla dzieci przy Spółdzielni „Chalupnik” w lutym 1968 r. Początek nie był łatwy, mimo poparcia moralnego i finansowego ze strony centrali Cepelii w Warszawie a także wysiłków prezesa Szymańskiego ze Spółdzielni „Chalupnik”. Niestety nie dysponował on odpowiednim pomieszczeniem, a kierownik szkoły nie zgodził się przyjąć ogniska ceramicznego, chociaż projekt podobał się nauczycielstwu, a Cepelia zapomniała fundusze, materiał, urządzenie pracowni oraz dawała instruktura. Na szczęście Krystyna Dziubich, kierowniczka przedszkola wiejskiego, zgodziła się podjąć trud zorganizowania u siebie ogniska. Dzięki jej energii i pomocy zajęcia z dziećmi okazały się z wielu powodów korzystne. Dla dzieci była to bowiem ciekawa i kształcąca zabawa, wprowadzające je w świat ceramiki. Poprzez dzieci trafiono zaś do ich rodzin, przywracając szacunek dla dawnej sztuki ludowej i zapewne wpływając na ich upodobania estetyczne. Nam przyniosły zajęcia wiele doświadczeń metodycznych.

Ognisko dzieci starszych, od 7 do 14 lat, rozpoczęło pracę nieco później, w starej sieni Spółdzielni „Chalupnik”, aby po kilku miesiącach przeprowadzić się do Domu Kultury Straży Pożarnej. Przenosiny były konieczne ze względu na zdrowie dzieci, ale trzeba przyznać, że sala Domu Kultury nigdy nie miała tego szczególnego nastroju co stara sieni z wiejskim stołem. Przy stole tym zatrzymywali się przechodzący pracownicy Spółdzielni, rozmawiali z dziećmi, nawet w sprawach produkcji, powstawała więc szczególna atmosfera sympatii i obustronnego szacunku, gdy dorośli z uznaniem oglądali prace dzieci a one z przejęciem zwracały się do pana prezesa, pana magistrza lub pani księgowej. W tej starej sieni najważniejszą była ceramika artystyczna i ona dawała poczucie jakiejś wspólnoty.

Na pierwszym piętrze mieściła się wzorcownia Spółdzielni, pełna dzieł sztuki ceramicznej i ta wzorcownia, dostępna dla dzieci, kształtowała w naturalny sposób ich zainteresowania ceramiką i upodobania estetyczne.

Ilża sławna jest z garnków i mis, ale oprócz nich do tradycyjnych wyrobów należą również gliniane ptaszki, bogato dekorowane piórkami, modelowanymi z gliny o innym kolorze. Zrobienie takiego ptaszka wymaga dużej wprawy, zręczności palców, a także smaku estetycznego, ale właśnie te ptaki sprawiły, że pierwsze ognisko dziecięcej ceramiki powstało w Ilży. Toczenie naczyń na kole garncarskim jest dla młodszych dzieci uciążliwe, a lepienie ptaszków wydawało się łatwiejsze. Nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas, z jaką swobodą mogą dzieci opanować technikę lepienia.

Drugie Ognisko Ceramiki Dziecięcej zostało zorganizowane w 1971 r. we wsi Medynia Głogowska, niedaleko Łańcuta. Podejmując pracę mogliśmy już korzystać z doświadczeń Ilży. Słyszeli

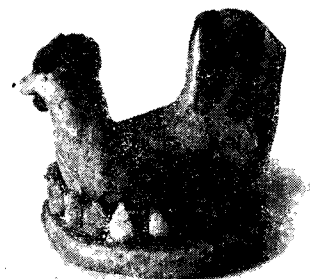


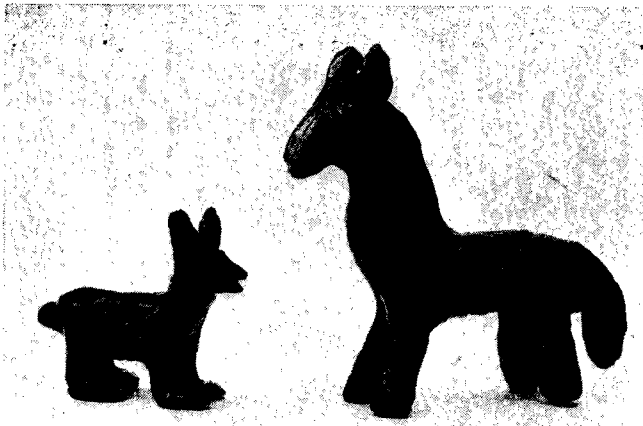
Il. 7. Władysława Prucnal, Medynia Głogowska, woj. rzeszowskie; il. 8. Kokoszka, wyk. przez dzieci z zespołu Wł. Prucnal, 1979 r.

też o nich pracownicy spółdzielni cepeliowskich, toteż w Medyni od razu znaleźliśmy zrozumienie dla naszego pomysłu. Organizatorem ogniska była Spółdzielnia „Przemysł Ludowy” w Leżajsku, a dużą pomoc okazała Centrala Zrzeszenia Cepelii w Warszawie.

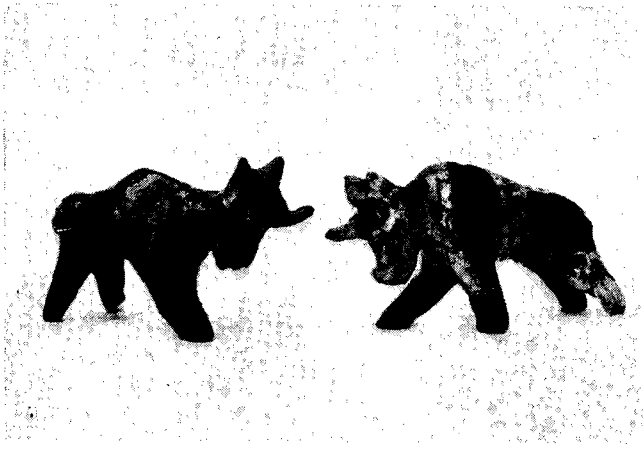
Ognisko w Medyni nigdy nie miało ani kłopotów lokalowych, ani organizacyjnych. W starym budynku poczty przeznaczono na pracownię dwa pokoje, które Spółdzielnia w Leżajsku urządziła starannie i zaopatrywała we wszystko co konieczne. W pracy wychowawczej od początku brali udział nauczyciele miejscowej szkoły.

Własna pracownia dawała swobodę w pracy, tak że i dzieci i instruktorzy-wychowawcy czuli się u siebie. Na ścianach umieściliśmy dwie fotografie garncarskich mistrzów z Medyni. Byli to ludzie ogólnie znani, ojcowie i dziadkowie niektórych dzieci z Ogniska. Na wielkich regałach dzieci mogły swobodnie





9



10

11



Prace dzieci z zespołu Wł. Prucnal: il. 9. Agata Prucnal, l. 10; il. 10. Tadeusz Kuźniar, l. 11; il. 11. Waldemar Pasierb, l. 14 i Janusz Chmiel, l. 8

ustawiać swoje gliniane figurki, na innej ścianie wieszaliśmy obrazki malowane przez dzieci.

Kilka pierwszych zajęć, zarówno w Iłży jak i Medyni prowadziłam sama z pomocą nauczycieli i wychowawców, po tym wstępnym okresie nauczycielami ceramiki zostali twórcy ludowi. W Iłży stary mistrz garncarski, który od dawna z wielkim zamiłowaniem lepił ptaki gliniane — Wincenty Kitowski (ur. 1895 r.), a w Medyni rzeźbiarka ludowa — Władysława Prucnal i mistrz garncarski — Andrzej Ruta. Ten porządek pracy: wstęp i właści-

we zajęcia ceramiczne, zdał egzamin i jest, jak sędzę, godny polecenia, gdyż twórcy ludowi, tak świetni w swojej sztuce i rzemiośle, nie są na ogół pedagogami, i do swej funkcji nauczyciela muszą się przygotować przez wspólne zajęcia z instruktorem-plastykiem, rozmowy i wymianę doświadczeń. Nie sędzę by mogli sobie dać radę od razu z gromadą obcych dzieci, co doświadczonemu nauczycielowi nie sprawia szczególnych trudności. Trzeba nauczyć dzieci zachowania się w pracowni, przyzwyczaić do nowych zajęć, poznać choćby trochę ich usposobienie i zdolności, by tę grupę wdrożoną do nowej dla nich pracy, w nowym miejscu, przekazać spokojnie ludowym twórcom pod opiekę i dla nauki. Z doświadczeń moich wynika, że praca będzie najlepiej, gdy twórca ludowy — najważniejsza osoba, ma na zajęciach pomocnika — najlepiej nauczyciela, który pełni funkcję asystenta, pomocy technicznej i dawnej „damy klasowej”.

Wstępny przed—ceramiczny okres zajęć powinien przede wszystkim zainteresować dzieci ich przyszłymi zadaniami, a ponadto ośmielić w zabawie i pracy, przyzwyczaić do głośnego wypowiedziania pytań i opinii w sprawach, które dotyczą zajęć artystycznych.

W pracowni ceramicznej dzieci muszą być bardzo posłuszne i uważne, tego wymaga materiał i technika, ale muszą się czuć zupełnie swobodnie. Z dziećmi wiejskimi rzadko są kłopoty wychowawcze w pracowni, dla mnie są to najmilsze zespoły dziecięce, jakie mogą być.

W okresie wstępnym dzieci poznawały wyroby garncarskie swej okolicy, oglądały stare piece, słuchały opowiadań i malowały. Czyniły to z tym większym zapałem, że organizatorzy kupili dobre pędzle i farby. Rodzice i nawet nauczyciele byli zdziwieni malarskimi zdolnościami swych dzieci.

Pozostało mi jedno szczególnie miłe wspomnienie; dzieci z przedszkola w Iłży, które wiele razy trzymały w rączkach gliniane ptaki i znały je doskonale, zawsze na swych obrazkach malowały te ptaki żywe, fruujące w powietrzu. Czasem ptaszki wkładane były do pieca garncarskiego jako szare figurki, ale zawsze wylatywały na swych rozpostartych, kolorowych skrzydełkach.

Mimo iż Iłża słynie z dobrej gliny, a Medynia to wioska garncarzy, okazało się, że dzieci nigdy dotąd nie miały jej w rękach, ani w szkole, ani w przedszkolu.

Praca ceramiczna z dziećmi w różnym wieku upewniła mnie, że zwykle nie doceniamy ich zdolności manualnych, ani bystrości ich sądów. Malutkie rączki przedszkolaków dawały sobie radę z trudną techniką lepienia z gliny kształtów pustych wewnątrz, a dzieci 10—13 letnie uczyły się techniki ceramicznej zwykle szybciej niż dorośli. Umiały one powtarzać dokładnie ruchy rąk instruktora, a delikatność ich palców była bardzo przydatna.

Okazało się, że małe dzieci mogą sobie przyswoić podstawowe wiadomości techniczne, jeżeli mają okazję do obserwacji. Grupa 5 letnich dzieci „badala” trzy etapy produkcji naczyń i otrzymała trzy małe naczynka: pierwsze — z surowej wysuszonej gliny, drugie — z gliny raz wypalanej, porowatej, trzecie — pokryte szklivem. Dzieci włożyły wszystkie naczynia do miski z wodą i co kilka minut chodziły je oglądać. Na koniec 5 letni obserwator zdał relację: „to ze szklivem nic się nie zmieniło, to drugie podobne do doniczki jest całe mokre, ale paznokciem nie można go zdrapać, a z tego, które nie było w piecu zrobiło się już błoto”. Jestem pewna, że nie wszyscy dorośli i wykształceni ludzie wiedzą tyle o kolejnych etapach produkcji ceramiki.

Własna praca w materiale, nawet najskromniejsza, pozwala szybciej i dokładniej — niż w czasie słuchania objaśnień czy wykładu — zrozumieć jak bardzo forma plastyczna zależy od materiału i narzędzia. Posłużę się jeszcze jednym przykładem z przedszkola. W Iłży starsze dzieci z zapałem podpisywały gliniane kafelki, a szło to dość powoli, bo pisały jeszcze z pewnym trudem nawet na papierze. Dzieci stwierdziły, że w wilgotnej glinie najłatwiej jest wryć litery, które składają się z prostych kresek, a linie zagięte są znacznie trudniejsze — np. litera S.

Pokazałam im wtedy dwie fotografie pisma klinowego na tabliczkach glinianych i jedna z dziewczynek wyraziła opinię, która znalazła ogólne potwierdzenie. „To mądrzy ludzie, wymyślili takie pismo, jeżeli musieli pisać na glinie”. Dalsza rozmowa dotyczyła oczywiście naszego alfabetu, papieru, ołówka i długopisów.

Po wstępnym okresie dzieci rozpoczęły modelowanie ceramiki pod kierunkiem twórców ludowych i zajęcia te prowadzone są do dziś. Dzieci lepią ceramikę, a ich gotowe figurki wypalają w swoich piecach nauczyciele mistrzowie garncarscy. Oni też nakładają szkliwo, które przed wypaleniem może być niebezpieczne dla zdrowia dzieci.

Typowe prace z Ilży i Medyni są łatwe do odróżnienia. W Ilży dzieci wykonują ptaszki zgodnie z tradycyjnymi typami i techniką. Kształt ptaszka skleja się z trzech zwiniętych płatków gliny i ozdabiają plastycznie modelowanymi z kolorowej glinki piórkami. Kompozycja piórek jest dowolna i różnorodna, ale konstrukcja ptaka zgodna jest z rygorami ceramicznej formy. Mistrz Kitowski był doskonałym starym fachowcem i wrażliwym artystą, między nim i jego uczniami mieściły się dwa pokolenia, te właśnie, które w Ilży odeszły od garncarstwa, pozostawiając wysłużone piece starym ludziom, a obecnie również i dzieciom. Mistrz pokazywał każdy ruch rąk, doradzał czasem kolory i układ piórek, a ptaszki technicznie nieudane — poprawiał sam. O najładniejszych ptakach mówił, że są tak dobre jak jego własne, a zresztą bardzo sobie chwalił bystrość dzieci i twierdził, że dawniej nie było tak zdolnych uczniów. Niestety, Kitowski już nie żyje.

W Medyni starsze dzieci uczą się toczyć naczynia na kole garncarskim pod kierunkiem twórcy ludowego Andrzeja Ruty, doskonałego garncarza, który z jednakową łatwością toczy wielkie dzbany i małe dzbanuszki-miniaturki. Na zajęcia te przychodzą równie chętnie dzieci garncarzy, jak ich młodzi sąsiedzi, którzy w Ognisku po raz pierwszy usiedli przy kółku. Jest to wyraźne wprowadzenie do rzemiosła, chociaż oczywiście nikt nie może przewidywać czy te zainteresowania będą trwałe.

Początkowo chcieliśmy w Ognisku postawić warsztat garncarski starego typu, który garncarz wprawia w ruch stopami,



12

uważając, że dzieci łatwiej nauczą się toczyć naczynie na warsztacie prostym i nawet prymitywnym, w którym szybkość obrotów koła jest regulowana dowolnie przez garncarza. Wydawało się oczywistym, że uczniowie najpierw powinni poznać starą technikę wyrobu dzbanków i misek, a dopiero później zasiąść przy elektrycznym toczku garncarskim.

Prawdopodobnie mieliśmy rację jako metodycy, ale w Ognisku w Medyni trzeba było jednak wstawić koło garncarskie po-

Il. 12. Konik-gwizdek, wys. 9 cm, wyk. Władysława Prucnal. Il. 13, 14. Prace dzieci z Ogniska Ceramiki Dziecięcej, wyk. pod kier. Władysławy Prucnal i Zofii Czerwosz

13



14





15

Linoryty z ogniska Domu Kultury i Młodzieży w Nowym Targu: il. 15. *Powrót zbrojników z polowania*, wyk. Dorota Mirocka l. 9; il. 16. *Kolędniczy*, wyk. Jolanta Kłoczek, l. 10; il. 17. *Noc grudniowa na Podhalu*, wyk. Marek Pajor, l. 10; il. 18. *Kolędniczy z Poronina*, wyk. Henryk Fryda, l. 13



16



17



13



19

Il. 19. *Maryna z Hrubego*, wyk. Agata Zajac, l. 6; il. 20. *Kołodnicy*, wyk. Paweł Malewicz, l. 9; il. 21. *Życie pasterskie*, wyk. Michał Batkiewicz, l. 13; il. 22. *Starszy zbójnik*, wyk. Jacek Knajter, l. 13



20



21

ruszane prądem. Okazało się bowiem, że w całej okolicy żaden szanujący się mistrz nie siądzie przy kole, które trzeba poruszać nogami, wszyscy dobrzy garniarze nabyli już tocarki elektryczne i według opinii wsi, przy starych warsztatach pracują już tylko niedołądzy i pijacy. Trzeba więc było ze względu na racje społeczne odstąpić od zaleceń metodycznych.

W Medyni wszystkie dzieci, młodsze i starsze, bardzo chętnie modelują w glinie, regały w pracowni są pełne postaci. Istnieje bowiem w tym ośrodku żywa i silna tradycja swobodnej rzeźby ceramicznej, wyrazicielką której jest m.in. Władysława Prucnal. Jej właśnie powierzyliśmy prowadzenie zajęć z dziećmi. Władysława Prucnal należy do grona najlepszych żyjących rzeźbiarzy — ceramiczków, a figurki jej bardzo podobają się dzieciom. W odróżnieniu od Kitowskiego nie poprawia ona dzieciom ich glinianych figurek, często nie bierze ich nawet do ręki, poprzestając na podaniu tematu i zachęcie, ale dzieciom, zwłaszcza zdolniejszym, naśladowanie przychodzi łatwo. Nie ma tu kunsztownej techniki i kształtów wewnątrz pustych, ani pracowitego ornamentu ptaków z Ilży, dzieci modelują spontanicznie, tak jak mają ochotę. Ich figurki choć wykazują podobieństwo do ceramiki ludowej, mogą być przykładami dziecięcej ekspresji w rzeźbie.

Prawdopodobnie każdy nauczyciel zadałby pytanie czy w Ilży dzieci lepią tylko tradycyjne ptaszki, czy też modelują z własnej chęci także inne postaci? I czy technika wykonania ptaszków ma wpływ na swobodną rzeźbę dziecięcą?

Według moich dotychczasowych obserwacji wpływu tego nie widać. Figurki lepiące „na własną rękę” są z reguły pełne, dzieci nie wprowadzają kształtów pustych wewnątrz, nie stosują też w swym dowolnym modelowaniu charakterystycznego ornamentu z drobnych plastycznych elementów. Należy on wyłącznie do ptaków. Tak więc dzieci nie przenoszą spontanicznie znanych im tak dobrze konstrukcji i dekoracji na inne, własne formy.

Oba ogniska mają już swój wieloletni dorobek. Wierzę, że wpłynie to na przedłużenie w Ilży tradycji lepienia ptaszków, umiejętność tę nabyło bowiem parę setek dzieci. I w Ilży i w Medyni znacznie wzrosło zainteresowanie dla garniarstwa i rzeźby ceramicznej, widać też wyraźnie większy szacunek dla garniarzy. Wszystkie dzieci, które przeszły przez Ognisko, czegoś się nauczyły, są bogatsze o nowe doświadczenia z materiałem i formą. Poznały stare rzemiosło, miały okazję do samodzielnej ekspresji plastycznej w ciekawej i szlachetnej technice. To dużo, a jednak sądzę, że oba ogniska zatrzymały się w rozwoju i nie zrobiły dalszych kroków, których można było oczekiwać.

W Ilży dzieci nie sięgnęły nawet po wszystkie wzory, które mogą oglądać we wzorcowni Spółdzielni „Chałupnik” i zostały przy typie ptaków swojego nauczyciela w Ognisku. Nie próbują nowych form. Nie wiadomo czy zdobędą się kiedyś na samodzielną twórczość, aby we własnych formach wyrazić swoje upodobania.

Również w Medyni wszystko przebiega sprawnie, coraz nowe dzieci dorastają do Ogniska. Regały są pełne figurek ceramicznych, miłych, swobodnych i poprawnych technicznie — i tu jednak brakuje nowych pomysłów. Od dzieci, które tak bardzo oswojone są z ceramiką, można by oczekiwać więcej. W pobliskim Leżajsku są ciekawie malowane stare kafle, czemu dzieci nie miałyby próbować również malarstwa ceramicznego? Również w rzeźbie ceramicznej mogłyby nauczyć się lepienia form pustych wewnątrz jak skorupki, a takie wzbogacenie techniki pozwoliłoby im na nowe możliwości ekspresji. Oczywiście dzieciom potrzebne są wskazówki i zachęta. Same nie mogą pójść dalej.

Na koniec chcę jeszcze powiedzieć o Kółku Graficznym w Domu Kultury Dzieci i Młodzieży w Nowym Targu, które prowadzi od 1976 r. absolwent Wyższej Szkoły Plastycznej we Wrocławiu — góral z Poronina, artysta plastyk Stanisław Gał. Zapoznając dzieci góralskie z grafiką, a ściślej mówiąc z linorytem, nauczyciel ten skłonił je do uprawiania dyscypliny artystycznej nieznaną w tradycji Podhala.

Mimo, że dzieci rozpoczęły nową dla nich pracę w trudnej technice artystycznej, wyniki okazały się po krótkim czasie doskonale. Linoryty dziecięce z Nowego Targu należą do naj-



22

lepszych w całym kraju i zaczynają być już znane za granicą. Charakterystyczne są w nich żywe i różnorodne linie cięć, które łączą się w zamknięte układy białych znaków, kontrastujących ze spokojną czernią płaszczyzn. Bywa, że dziecięca naiwność w traktowaniu tematu łączy się ze zdecydowaną i jakby światową kompozycją całego obrazu i to stanowi o ich szczególnym uroku.

Od dawna jestem przekonana, że poziom artystyczny prac dzieci zależy przede wszystkim od zdolności nauczyciela i nie chciałabym przeceniać wpływu kultury Podhala na młodych grafików w Nowym Targu, ale trzeba chyba w tym przypadku brać pod uwagę czynniki miejscowe, które w sukcesach artystycznych mają swój udział. Większa niż w innych środowiskach sprawność manualna dzieci góralskich i ich tradycyjne zamiłowanie do strugania i cięcia drewna, na pewno wywierają wpływ na łatwość, z jaką uczą się one posługiwać dłutkami graficznymi przy cięciu w linoleum.

Nie można zapomnieć, że Podhale to region świetnej sztuki ludowej i w każdym niemal domu, jeszcze dziś, znajdują się stare sprzęty i przedmioty o szlachetnej linii, często ozdobione bogatym, ale doskonale wyważonym ornamentem.

Dzieci w swych graficznych wypowiedziach muszą nawiązywać do układów dekoracyjnych, które widują w starym budownictwie drewnianym i spotykają w rzeźbionych sprzętach, tak charakterystycznych dla Podhala. Pewien wpływ mogą wywierać też hafty, a szczególnie parzenice.

W zdobnictwie góralskim bardzo często ornament zwarty i gęsty kontrastuje z jednolitą, pustą przestrzenią. Zasadę tę spotykamy również w grafice dzieci. Można sądzić, że dzieje się tak m.in. z tego powodu, iż dzieci przyswajają sobie w codziennym obcowaniu zasady kompozycyjne występujące w zdobnictwie otaczających je przedmiotów.

Dlatego też linoryty z Nowego Targu, nie należące do sztuki ludowej są bardzo góralskie i grafika dla regionu nietypowa, jest w nim tak mocno osadzona.

*

Była to krótka relacja o pracach trzech Ognisk, które działają w kręgu sztuki ludowej, wśród żywych jeszcze tradycji dawnych form ludowych.

Zajęcia ceramiczne z dziećmi prowadzi twórcy ludowi, grafikę — dyplomowany artysta plastyk. Wszyscy uczą dzieci swego własnego regionu, w którym sami się urodzili i wychowali i z którym związani są również własną twórczością. Tacy nauczyciele mogą zapewnić właściwe przekazanie uczniom najistotniejszych treści kultury ludowej, zapoznać je z tradycją i nieskażonymi formami rękodzieła swoich stron.

Jednak doświadczenia z Ilży i Medyni każą zadać pytanie, jak działać, aby dzieci, które już przyswoiły sobie jakiś sposób wykonania, właściwy dla konkretnego wyrobu ludowej sztuki, nie poprzestały na powtarzaniu tego jednego sposobu. Aby nabyte umiejętności stały się własnością dzieci i mogły im służyć w dalszym rozwoju artystycznym.

Nietrudno znaleźć odpowiedź, trzeba jednak stale pamiętać, że celem wszelkich zajęć artystycznych, a więc i tych poświęconych sztuce ludowej, jest estetyczne wychowanie uczniów. Drogą jest własna ekspresja plastyczna i możliwie blisko obocowanie z dziełami sztuki. Chodzi ostatecznie o wprowadzenie wychowanka do wspólnoty kulturowej, którą tworzy w społeczeństwie m.in. sztuka.

Sądzę, że młodzi ludzie, którzy od dzieciństwa przyswoili sobie konwencję estetyczną jakiegoś regionu sztuki ludowej, są w wyjątkowo korzystnej sytuacji, ponieważ mają bardziej lub mniej świadome, ale wyraźne kryteria ocen. Nie obawiam się, by to pierwsze wtajemniczenie ludowe mogło następnie utrudniać zrozumienie i akceptację sztuki współczesnej. Przeciwnie, kształtuje ono zainteresowania i pobudza uczuciowy stosunek do sztuki, wzbogaca wyobraźnię a przede wszystkim rozwija potrzeby estetyczne.

Trzeba jednak stwierdzić realnie, że niewiele jest już regionów, w których twórczość ludowa żywa jeszcze w otoczeniu może kształcić świadomość estetyczną dzieci, tak jak się to dzieje w Nowym Targu. Pozostają więc zabiegi wychowawcze, które z różnym powodzeniem dążą do wykorzystania bogactwa polskiej sztuki ludowej.

Jednym z nich jest właśnie nauka wykonywania tradycyjnych wyrobów ludowych w Ogniskach Dziecięcych. Już samo

rzetelne nauczanie technik jest sprawą niebagatelną, gdyż umożliwia własne sensowne działanie ucznia, a także daje klucz do zrozumienia materiału, sposobu wykonania i formy wyrobów rękodzieła ludowego.

Zadania te najlepiej spełniają Ogniska, w których twórcy ludowi jednocześnie z umiejętnościami technicznymi przekazują dzieciom wiadomości o wyglądzie przedmiotów. Wiadomo, że artyści-plastycy mają nieraz wątpliwości jak należy odpowiadać na pytania dzieci, które np. chcą wiedzieć jakim kolorem malować, w jaki sposób narysować coś lub ulepić z gliny, ale każdy kto bywał na zajęciach w Ogniskach sztuki ludowej wie, że takich wahań nie mają twórcy ludowi. Ich odpowiedzi są stanowcze, ponieważ płyną ze spokojnej pewności, którą daje długoletnia tradycja miejscowa.

Trzeba jednak uświadomić sobie, że współczesne dzieci potrzebują bogatego programu wychowawczego. Nie są to przecież uczniowie pana majstra w dawnym warsztacie. Nie mogą się uczyć stale tego samego — trzeba im pokazywać wciąż nowe rzeczy i przedstawiać coraz to nowe zadania.

Jak prowadzić takie wszechstronne i dynamiczne Ogniska, oparte na tradycyjnej sztuce ludowej? Tylko praca i inicjatywa wielu ludzi mogą dać na to odpowiedź.

Na koniec chciałabym tylko przekazać spostrzeżenia dotyczące organizacji Ogniska sztuki ludowej dla dzieci. Doświadczenia wielu zespołów wskazują, że twórcy ludowi są w nich nie do zastąpienia, ale że są w nich również niezbędni wykształceni artyści-nauczyciele, jako opiekunowie, bo tylko oni układają od początku harmonijne współzycie wiejskich mistrzów rękodzieła z uczniami-wychowankami współczesnej szkoły. Oni też mogą rozszerzać zainteresowania dzieci. Jeżeli wychowankowie Ogniska pod kierunkiem twórcy ludowego osiągną już niezły poziom artystyczny, a także sprawność techniczną i zaczną się trochę nudzić, wtedy opiekun-pedagog powinien taktownie wskazać dalsze cele. Ogniska, które takiego opiekuna nie mają, zasklepiają się często wewnątrz i zaczynają powielać wciąż takie same formy. Zanika twórczość i uczniowie robią prace co najwyżej przeciętne. Zdolności artystyczne i talenty noszą bowiem w sobie, ale pokazać je i zabiłysnąć mogą tylko w sprzyjających wychowawczo warunkach. Na stworzeniu tych przychylnych warunków polega właśnie rola pedagoga.

